

Blask Corredo

CÓRKA SZKLARKI

AGNIESZKA GRZELAK

w|drodze
✚

CÓRKA SZKLARKI



Blask Corredo



CÓRKA SZKLARKI

AGNIESZKA GRZELAK

w|drodze

Copyright © by Agnieszka Grzelak 2014

Redaktor
Lidia Kozłowska

Redaktor techniczny
Justyna Nowaczyk

Projekt okładki
Dagna Krzystanek

ISBN 978-83-7033-992-0

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów
W drodze 2014
ul. Kościuszki 99, 60-920 Poznań
tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82
www.wdrodze.pl sprzedaz@wdrodze.pl



CZĘŚĆ I

1.

Upał. Słońce wlewa się przez szerokie okna pracowni, nadając ciepły koloryt zielonkawej tapecie w powojniki. W taki dzień trudno skoncentrować się na malowaniu. Szklarka wypłukała pędzel i odłożyła go na bibułę. Ostrożnie odstawiła wykończoną już szybę witrażowego tryptyku. Dwie pozostałe muszą poczekać. Kiedyś tak nie było... kiedyś potrafiła pracować niezależnie od pogody i stanu ducha. (Z wyjątkiem może tego okresu, ponad trzynaście lat temu, kiedy zastanawiała się, czy naprawdę chce wyjść za mąż za Scabera). Ostatnio coraz częściej zdarzało jej się opuszczać pracownię po jednej lub dwóch godzinach malowania albo w ogóle nie wchodzić do niej przez kilka dni. Znała przyczynę. Przyczyna miała dwanaście lat, ciemne włosy do pasa, granatowo-niebieskie oczy i siedziała w tej chwili w cieniu kwitnącej lipy. Mori – jej córka.

– Nie wiedziałam, że macierzyństwo jest takie skomplikowane – powiedziała do siebie, dokręcając słoiczki z farbami i ustawiając je na półkach według kolorów.

Miała teraz mniej pracy niż kiedyś. Odkąd wyszła za mąż i stała się hrabiną Theą Sedun, większość z dawnych klientów uznała za niestosowne składanie jej zamówień na malowaną porcelanę, szkło czy dekoracyjne panele. Nie była już przecież Szklarką z Wyspy Sierot,

zarabiającą na życie jako artystka. Znalazła się teraz w ciasnym kółku arystokracji, gdzie kobiecie nie wypada trudnić się rzemiosłem i otrzymywać wynagrodzenia za swoje dzieła. Na szczęście istniała też grupa osób, pochodzących najczęściej spoza kręgu „wysoko urodzonych”, które ceniły jej wyroby i nie wzdragały się ich zamawiać.

Stała przy oknie i zapatrzyła się w siedzącą nieruchomo postać. Wiele by dała, żeby dowiedzieć się, o czym Mori teraz myśli. To dziecko jest takie tajemnicze. Nie miała pojęcia, że porozumienie się z własną córką może sprawiać tyle trudności.

„Czy zrobiłam coś źle? Może poświęcałam jej za mało czasu?” Nie, to oczywiście nieprawda. Czasu poświęcała jej masę. Zawsze... Próbowwała przekazać jej swoje doświadczenie, nauczyć wszystkiego, co sama umiała... Tylko że Mori nie potrzebowała nauki. To dziwne dziecko bez wysiłku opanowywało każdą gałąź wiedzy i dysponowało zdolnościami, o jakich Szklarce nigdy się nie śniło. Przypomniało jej się, jak pokazywała córce technikę malowania witraży. Powoli, krok po kroku, omawiała każde pociągnięcie pędzla. Przedstawiała powody, dla których dobrała takie, a nie inne barwy. Mori stała z boku i słuchała z uprzejmą miną. A kiedy Szklarka spytała: „Może teraz sama spróbujesz?”, dziewczynka śmiałymi ruchami namalowała tak piękne studium kwiatu wisterii, jakby kilka lat studiowała pod okiem Deleny. A miała wtedy zaledwie pięć lat. To było niezrozumiałe i trochę straszne. Podobnie jak inne wydarzenia, o którym wołałaby nie pamiętać.

To było na drugi dzień po urodzeniu Mori. Szklarka – przejęta i poruszona – mimo zmęczenia porodem, nie

mogła zasnąć. Przez całą noc trwała z otwartymi oczami, szczęśliwa i oszołomiona, wsłuchiwała się w spokojny oddech córeczki. Dziecko leżało w ozdobionej koronkami kołysce, która od co najmniej czterech wieków służyła kolejnym potomkom Sedunów. Właśnie wschodziło słońce. Scaber otworzył oczy i bardzo przejęty spytał szeptem:

– Czy ona jeszcze śpi?

Szklarka uniosła się na łokciu, żeby zajrzeć między antyczne falbanki, a wtedy z głębi kołyski odezwał się nieco sepleniący głosik:

– Jus nie.

Spojrzeli po sobie zaskoczeni. Szklarka poderwała się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podmienił im dziecka. To był absurdalny pomysł, ale tuż po porodzie absurdalne pomysły rosną w głowach matek jak grzyby po deszczu. Dziewczynka w kołysce była tym samym noworodkiem, który zaledwie kilkanaście godzin wcześniej opuścił jej ciało. Ciemnogranatowe oczka patrzyły rozumnie, a różowe usteczka rozchyłały się, ukazując bezzębne dziąsółka.

– Ależ noworodki nie mówią... – wykrztusił Scaber.

– Dobrze tatusiu.

Szklarka opadła bezsilnie na poduszki. W sypialni zapadło milczenie. Niezwykłość tego, co się przed chwilą stało, bardziej ich przeraziła, niż ucieszyła. Scaber najcichszym z szeptów spytał ją, co o tym myśli.

– Nie wiem, co o tym sądzić – odpowiedziała równie cicho. – Chciałabym, żeby była zwyczajnym dzieckiem – dodała, bardziej do siebie. Nie wiedziała, czy ją usłyszał. Czuła, jak ogarnia ją nagle ogromne znużenie. Wyczerpana emocjami i porodem, zapadła w końcu w sen.

Potem jeszcze kilka razy wracali w rozmowach do tamtego poranka. Zawsze z niepokojem. Szklarka bała się, że wpływ instruktorek, jakiemu była poddana przez lata spędzone na Wyspie Sierot, może oddziaływać również na jej dziecko. To była mało prawdopodobna teoria, zwłaszcza że instruktorki zginęły jeszcze przed urodzeniem Mori. Jednak trudno było znaleźć inną przyczynę tego incydentu. Widziała, że Scaber też się niepokoi, ale usiłuje stłumić to uczucie, żeby nie powiększać jej lęków. Jakby wyczuwając nastroje rodziców, przez następny rok Mori nie wypowiedziała ani słowa.



Szklarka otworzyła srebrną szkatułkę, w której przechowywała listy od matki. Dotknęła dłonią pośliskłych kartek. „Tak naprawdę, to nie mam pojęcia, jak powinno być między matką a córką” – pomyślała.

Sposób, w jaki wychowywały ją instruktorki, daleki był od serdeczności. Dyscyplina i wymagania. Świat własnych uczuć należało poznać, a następnie ujarzmić. Z takim bagażem trudno wkraczać w macierzyństwo. Trudno czuć się kompetentnym rodzicem. Dlatego wysłała zaproszenie do Chamomilli, prosząc, żeby przyjechała sama, bez wychowanek.

Widywały się kilka razy w roku, ale Chamomilla zawsze otoczona była wianuszkiem dziewczynek. Zajmowała się nimi od dnia, w którym Wyspa Sierot została wysadzona w powietrze. Jej niespożyta energia nie przestawała zdumiewać Szklarki. Nie dość, że matkowała około trzydziestce dzieci, to jeszcze (żeby nie korzystać wiecznie z pomocy przyjaciół – jak wyjaśniła)

stworzyła małą wytwórnię bardzo ekskluzywnych serów. Dzięki ich sprzedaży mogła utrzymywać w dostatku całą swoją olbrzymią rodzinę. Wszystkie jej dziewczęta, jak to zresztą było do przewidzenia, wykazywały nieprzeciętne uzdolnienia artystyczne, tak więc trzeba było zatroszczyć się o ich edukację. Kazała zbudować na terenie sąsiadującym z wytwórnią serów obszerny pawilon z szeregiem pracowni plastycznych. Nauczycielkami zostały uciekinierki z wyspy Nut.

Myśl Szklarki powędrowała do tych niezwykłych kobiet, z którymi ponad dwanaście lat temu zeszła z pokładu „Roxilony”. Wydawało jej się wtedy, że trudno im będzie odnaleźć się na nowo w zwyczajnym świecie, bez niewidzialnego nadzoru i opieki Corredo. Zaproponowała nawet, po wcześniejszym omówieniu tej sprawy ze Scaberem, żeby na początek zamieszkały w Versathis – posiadłości Sedunów. I rzeczywiście, przez kilka pierwszych miesięcy korzystały z ich gościny. Posprzedawały swoją biżuterię, a za uzyskane w ten sposób pieniądze nabywały to, co potrzebne im było do tworzenia: farby, pędzle, płótna, nici do haftu, narzędzia jubilerskie, glinki ceramiczne i tak dalej. Jedna po drugiej opuszczały Versathis i wynajmowały sobie mieszkania w Como, Brittle albo innych ośrodkach, gdzie można znaleźć bogatych klientów. No i dawały lekcje podopiecznym Chamomilli. Może należałoby posłać do tej szkoły także i Mori... Tyle że ona chyba już wszystko umie.

Wzrok Szklarki znowu powędrował w kierunku szczupłej postaci, która w tym właśnie momencie podniosła się z ziemi. Wspięła się na palce i zrobiła nad oczami daszek z dłoni, jakby czegoś wypatrując. Potem powoli zaczęła iść w kierunku bramy wjazdowej, ale na-

gle zmieniła decyzję. Okręciła się na pięcie i pobiegła w przeciwną stronę.

Mori całe dnie spędzała samotnie. Albo spacerowała po ogrodzie, albo siedziała w jednym miejscu, zatopiona w rozmyślaniach, albo zaszywała się w swoim pokoju, do którego nie wpuszczała żadnych służących, a rodzinom pozwalała zaglądać tylko z rzadka. Szklarka bardzo chciałaby wiedzieć, co ona tam robi, co ją interesuje, do czego mają służyć te dziwne rzeczy ze szkła, metalu i drewna, walające się po całym pokoju. Nie chciała jednak być wścibska ani natrętna. Wydawało jej się, że gdyby Mori miała do niej zaufanie, sama dzieliłaby się tym, co jest dla niej ważne. Tak wyobrażała sobie relację między matką i córką. Jako bliską zażyłość. A tymczasem czuła, że w obecności dziewczynki staje się spięta i tak bardzo skoncentrowana na tym, żeby nie popełnić jakiegoś nietaktu, który jeszcze bardziej oddaliłby je od siebie, że jakakolwiek spontaniczna reakcja wydawała się niemożliwa.

Powietrze wypełniło przenikliwe dzwonienie. Nieomylny znak przybycia Chamomilli. Była to jej jedyna, nieszkodliwa ekstrawagancja – dzwoneczki przy powozie i przy końskiej uprzęży. Na pytania, dlaczego i skąd ten pomysł, odpowiadała uśmiechem i wzruszeniem ramion. Szklarka nie zamierzała dociekać.



– Theo! – Ciepły uśmiech rozjaśnił twarz wkraczającej do hallu Chamomilli.

Jej obfita postać, spowita we wzorzyste jedwabie zdawała się rozświeć całe pomieszczenie. Naszyjni-

ki i bransolety rzucały na ściany błyski. Znikomą część tej biżuterii stanowiły prawdziwe klejnoty. Większość migocących kamyków była precyzyjnie oszlifowanymi szkiełkami. Chamomilla z pogardą odnosiła się do arystokratycznego uwielbienia dla drogich kamieni i bulwersowała „wysoko urodzonych” stwierdzeniami typu: „I jedno, i drugie ładnie się świeci”.

Szklarka objęła przyjaciółkę. Gdyby były same, gdyby wokół nie krążyły ciche zastępy służby, pewnie rozplakałaby się z ulgi. A tak mogła sobie jedynie pozwolić na długie westchnienie. Chamomilla poklepała ją delikatnie po plecach.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała. – Kalikście, podaj mi kosz.

Chamomilla zawsze zjawiała się z jakimiś niezwykle mi prezentami. To stało się już tradycją. Woźnica, pełniący w razie potrzeby również funkcję służącego-do-wszystkiego, wręczył jej ceremonialnie żadaną sztukę bagażu. Kobieta wydobyła z niej małą podłużną paczuszkę, owiniętą złożoną bibułą i przewiazaną atłasową wstążeczką.

– Co to jest?

– Otwórz, a zobaczysz.

Wewnątrz zawiniątka znajdował się smukły kryształowy flakonik, napełniony blad złotym płynem. Szklarka wyciągnęła zwieńczony kryształową kulą korek i wszyscy obecni w hallu mimowolnie wciągnęli głębiej powietrze przesyczone nagle egzotycznym, kwiatowym zapachem.

– Perfumy! – ucieszyła się Szklarka.

– To dzieło mojej Maiorany. Po raz pierwszy chyba któraś z wychowanek Wyspy Sierot zamiast sztuką, zajmuje się produkcją pachnidła.

– Trudno Maioranę nazwać wychowanką Wyspy Sierot. Przebywała tam zaledwie siedem lat. A poza tym jest jeszcze Irinda, która zamiast rzeźbą, zajmuje się ogrodnictwem.

– To prawda. Niemniej jednak to wyjątki.

Chamomilla znowu zanurzyła rękę w koszu. Tym razem pakunek był znacznie większy, mniej kształtny i zawinięty w lnianą serwetę z wzorem w rumianki. Zarówno zapach, jak i charakterystyczne opakowanie nie pozostawiały wątpliwości, iż jest to jeden ze słynnych i piekielnie drogich wyrobów Chamomilli.

– Cóż to jest tym razem? – dopytywała się Szklaraka. – Śmietankowy ser z oliwkami czy też mój ulubiony, orzechowy?

– Zupełnie nowy wynalazek, przekonasz się przy kolacji. – Chamomilla podała ser najbliższej stojącej pokojówce. – Zanieś to do kuchni i powiedz, że mają go rozpakować tuż przed podaniem. Nie wcześniej, pamiętaj!

Dziewczyna z nabożną czcią przejęła pakunek i odešla, stąpając tak dostojnie, jakby niosła klejnoty koronne.



Pół godziny minęło, zanim mogły zostać zupełnie same. Szklarce wydawało się, że służące nigdy nie przestaną krążyć, wnosząc herbatę, ciasteczka i specjalny dar od kucharki – miniaturowe torciki bezowe z bitą śmietaną i malinami. (Główna kuchmistrzyni Versathis traktowała Chamomillę z szacunkiem i czcią należną co najmniej jakiemuś bóstwu. Zawsze starała się przygotować na jej przyjazd coś wyjątkowego).

– No a teraz powiedz, jakie masz kłopoty z Mori – odezwała się bez wstępów Chamomilla, kiedy tylko drzwi zostały zamknięte, odgradzając je od reszty domu.

– Oczywiście, zanim cokolwiek powiedziałam, ty już wszystko wiesz. – Szklarka pokręciła głową, rozbawiona i jednocześnie trochę zirytowana.

– Inaczej nie nalegałabyś, żebym przyjechała sama. Potrzebujesz mojej niepodzielnej uwagi. A więc słucham.

– Powiedz mi, co zrobiłam źle? Dlaczego nie rozumiem własnej córki? Dlaczego nie potrafię z nią rozmawiać? Nie wiem o czym. A ona... jest grzeczna, poprawna i zarazem taka odległa.

– Może za bardzo się starasz? – Chamomilla posłała jej rozbawione spojrzenie. – Ty próbujesz być idealną matką, a ona w odpowiedzi chce być idealną córką. I nie macie szansy się spotkać. Zawsze byłaś ostrożna w okazywaniu uczuć, Theo. To spuścizna po instruktorkach. Może jest teraz dobry moment na to, żeby zacząć otwarcie wyrażać zarówno radość, jak i złość.

– Złość? Ale ja nie jestem zła na Mori. Ja tylko się boję... że ją tracę, że nigdy nie będzie wiedziała, jak bardzo ją kocham. I jeszcze... – zawahała się – Mori jest inna od twoich dziewczynek. Nigdy nie bawiła się tak jak zwyczajne dzieci. Ciągłe nad czymś rozmyśla. Na dodatek wszystko umie... I to mnie przeraża. Nigdy ci o tym nie mówiłam, bo... – zająknęła się – jakoś nie było okazji i...

– Co to znaczy: wszystko umie? – przerwała Chamomilla.

– Kiedy próbuję ją uczyć malowania, okazuje się, że każda jej praca wygląda jak dzieło profesjonalnej ar-

tystki. Gdy zatrudniliśmy nauczyciela, wystarczyły dwa tygodnie, a wchłonęła wszystkie wiadomości. Okazało się też, że jej wiedza z przedmiotów ścisłych i nauk przyrodniczych przekracza poziom uniwersytecki. JAK TO JEST MOŻLIWE?!!

Chamomilla w milczeniu rozważała słowa Szklarki. Zamyślona sięgnęła po leżące na tacy ciasteczko i włożyła je do ust. Zamieszała łyżeczką cukier w herbatce i upiła łyk.

– Powiedz mi Theo, ile tygodni po waszym powrocie z wyspy urodziła się Mori?

– Dokładnie trzy miesiące.

– Czy jest prawdopodobne, że poczęła się na wyspie Nut?

Szklarka zaczerwieniła się.

– To była t...tylko jedna noc – zająknęła się – ale tak... to jest możliwe.

Chamomilla pokiwała głową, jakby ta informacja była potwierdzeniem jej przypuszczeń.

– Istnienie twojej Mori zaczęło się więc na terytorium Corredo. To nie mogło pozostać bez wpływu. Pamiętasz niezwykle umiejętności instruktorek? Myślę, że żadna z nas nie wie, jaką wiedzą dysponowały i do czego były zdolne. W dobrym i złym sensie.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że moja córka będzie kimś w rodzaju instruktorki! – obruszyła się Szklarka.

– Och, nie! Instruktorki były przecież wyrzutkami. Prawdziwi mieszkańcy Corredo... Przypomnij sobie, co mi opowiadałaś o swoich przeżyciach na wyspie Nut. Przypomnij sobie uczucie szczęścia i zachwytu. Nie było ci tam źle.

– To prawda.